

Alicia Vnderos

Błędy



Julia, kobieta w średnim wieku, spotyka w podróży z Los Angeles Alexa, mężczyznę prawie dwadzieścia lat młodszego. Czy to początek wielkiej miłości, mimo dzielącej ich różnicy wieku i bagażu doświadczeń? A jakie losy spotkają księdza Ramona z Argentyny, jego córkę Annę, podróżnika Bogumiła, lekarzkę Gośkę czy Amerykankę Peggy?

Błędy to intensywna powieść o miłości, której bohaterom obok fascynacji i zrozumienia towarzyszą zdrada, rozłąka, przemoc, a nawet śmierć. Tu każdy chce być kochany i każdy popełnia błędy, szukając prawdziwego uczucia.



Alicia Vanderos – urodziła się w Warszawie w 1953 roku. Mieszkała w Szwajcarii, na Cyprze, we Włoszech i Monako, zanim osiedliła się na stałe w południowej Szwecji. Debiutowała w 2020 roku powieścią *Róże jak motyle*, zawierającą liczne wątki autobiograficzne.


Sorus

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

Alicia Vanderos

Błędy


Sorus
Poznań 2022

Redaktorka prowadząca
Agata Sikorska-Olszowa

Redakcja
Izabela Dachtera-Walędziak

Projekt okładki
Katarzyna Plichta

Copyright © by Alicia Vanderos 2022

Copyright © by Sorus 2022

Wydanie I

ISBN 978-83-66664-87-6 e-book

Wydawnictwo Sorus

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

sorus@sorus.pl

Rozdział 1

Ona

Zadzwoniła wczesnym rankiem. Dzwonek wyrwał mnie z głębokiego snu. Właściwie nie chciałam odbierać, ale telefon dzwonił nieustannie i tak natarczywie, jakby chciał przeborować mi głowę. Nacisnęłam na zielony guzik.

– Wiesz – powiedziała powoli, jakby się zastanawiała – myślałam dużo o tobie i chcę, żebyś przyjechała... jak najszybciej – dodała pewnie. – Chcę ci coś pokazać. – Umilkła na chwilę i po krótkim namyśle zaczęła. – Zaprowadzę cię w miejsce, do którego później będziesz tęsknić. Zakochasz się w nim – naprawdę. Zrobi na tobie wielkie wrażenie, na całe życie...

W słuchawce zapanowała cisza. Po chwili kontynuowała, a ja w dalszym ciągu milczałam.

– Wiem o tym, bo znam twoją duszę, twoją wrażliwość... – przerwała, aby się zastanowić, i po chwili dodała już pewniej: – Znam twoją delikatność... łatwość wzruszania się, przeżywania scen... – wyliczała. – Wiem, że sztuka jest i zawsze będzie u ciebie na pierwszym miejscu. Załóż czarną, długą suknię. – I po namyśle dodała jeszcze: – Pamiętasz? – Ucichła na chwilę. – Lubiłaś dziadkowe bajki, które dla ciebie wymyślał i opowiadał. Pamiętasz baśnie, które ci czytał na dobranoc, każdego wieczoru, kiedy byłaś małą dziewczynką? No jasne, że pamiętasz – stwierdziła sama – ale zawsze musiały mieć nutę bajkową, wiodącą od zła do dobra, od złamanego, zranionego serca, do serca w całości i w szczęściu. Od biednej dziewczyny do spotkania z księciem... Czyż nie? – Zamyśliła się na chwilę, a ja czekałam, nie przerywając ciszy. W końcu dodała pewnym głosem:

– Jutro zapraszam cię na specjalny wieczór, razem ze mną! – W jej głosie zapanowała radość. – Przyjeżdżaj, proszę! – prawie krzyknęła.

– Obiecuję, będę o czasie! – powiedziałam wciąż senna, ale ciekawa, jaką niespodziankę dla mnie szykuje.

– Przrzekasz? – zapytała.

– Przrzekam! Nie zawiodę cię, samolot ląduje o osiemnastej. Mam nadzieję, że punktualnie.

Czekała na mnie w sali przylotów na paryskim lotnisku Charles'a de Gaulle'a.

Usiadłyśmy w pobliskiej kawiarni przy czerwonym winie i kawie espresso. Czarnoskóry, tęgi pianista w słonecznych okularach, czarnym garniturze i koszuli tego samego koloru przygrywał powolne, spokojne jazzowe kawałki. Sprawiał wrażenie na wpół śpiącego. Wyglądał jak jedna wielka czarna plama, kołysząc się w kącie kawiarni przy czarnym fortepianie. Obok niego stała wokalistka, przeraźliwie chuda, mocno i wulgarnie wymalowana, ruszała w takt czerwonymi, grubo uszminowanym ustami. Włosy miała czarne, długie i ulizane, wyglądała jak zmokła kura. Wydawała z siebie dźwięki jakby szeptu, jakby jęku. Podrygiwała lekko z mikrofonem w dłoni, odsłaniając chude, niezgrabne, kościste nogi wychodzące z rozcięcia długiej, brokatowej sukni. Jej obwisłe piersi ze sterzącymi do góry brodawkami opadały bezwładnie przylepione do ciała, a duży dekolt uwydatniał żebra, zaczynające się niemal na wysokości chudej, żyłastej szyi. Odwróciłam głowę.

Z drugiej strony przy barze faceci połykali nas spojrzeniami, wymieniając spostrzeżenia, zerkając uporczywie na mój dosyć odważny dekolt ze sporych rozmiarów silikonowym biustem.

Wyglądało to, jakby nie mogli nasycić się widokiem moich sztucznych piersi, przechylając co chwila następny kieliszek piwa, wina czy koniaku. Nie przeszkadzało mi to.

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać i co pokazać? Chyba teraz możesz mi wyjaśnić? – zapytałam, odwracając się w jej kierunku i lekceważąc spojrzenia facetów przy barze.

– Tak, teraz mogę. Chcę ci zaprezentować świat muzyki, muzyków, śpiewaków operowych, prawdziwych artystów. Chcę pokazać wnętrza oper, spektakle operowe. Gdybym wcześniej zdradziła tajemnicę, gdzie chcę cię zabrać, być może byś nie przyjechała. – Chrząknęła i przypaliła papierosa. – Być może... – dokończyła, rzucając zapałkę do popielniczki. Być może... – dodała stanowczo, patrząc mi głęboko w oczy.

Uśmiechnęłam się, prawie potwierdzając, spojrzałam jeszcze raz na mężczyzn oblegających bar. Po chwili wyszliśmy z kawiarni.

W dobrych humorach weszliśmy do środka paryskiej opery. Na ścianach wisiały lustra przeglądające się w lustrach po przeciwnej stronie, a ogromne pozłacane kandelabry stały wyniosłe na długich, czarnych, lakierowanych metalowych nogach, oświetlając foyer i wiszące kryształowe lampy, które błyszczały bogato wszystkimi kolorami.

Posągi ustawione przy podłużnych oknach, pozłacane i miedziane, inne z marmuru włoskiego, stały dumne i poważne, spoglądając na wytworne panie w długich, czarnych, dopasowanych i wydekoltowanych sukniach oraz na panów we frakach z cygarami w ustach. Wszędzie unosił się zapach drogich francuskich perfum. Publiczność stała, popijając szampana, żywo dyskutując na temat programu wieczoru, oczekując na rozpoczęcie pierwszego aktu.

Balkony i siedzenia na sali widowiskowej pokryte były grubym, ciemnoczerwonym welurem, wykończonym pozłacanymi aplikacjami. Ciężka kurtyna miała ten sam kolor. Wisiała wytwornie zakończona grubymi frędzlami i ornamentami w kolorze starego złota.

– Czujesz ten zapach? – zapytała... – Czujesz? – wyszeptała.

Usiadliśmy na wyjątkowo wygodnych dużych fotelach w pobliżu sceny. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach sztuki, dzieła, gry, śpiewu, spektaklu.

– Dzisiaj jest premiera, wystawiają „Toscę” – powiedziała z dumą.
– To jedna z najpopularniejszych oper. Zwróć uwagę na kostiumy – dodała pośpiesznie.

Patrzyłam i podziwiałam każdy detal.

– Widzę, że jesteś zachwycona? – zapytała, ściszej głośnie i nachylając się w moją stronę.

– Bardzo... Jestem urzeczona... Czuję, jakbym przeniosła się do innego świata! – odpowiedziałam szeptem.

Muzycy siedzący przy scenie zaczęli przygrywać do pierwszego aktu. Kurtyna podniosła się. A ja przepadałam, w głosach, muzyce, scenografii, choreografii, we wszystkim. Byłam między nimi. Byłam w atmosferze błędnego śpiewu i muzyki, sztuki. Moja dusza porwała mnie, uniosła do góry, powiewała i wirowała w powietrzu, niewidzialna, przezroczysta, zaczarowana i oczarowana wspaniałym dziełem. To pierwsze wrażenie i uwielbienie pozostało już we mnie na zawsze od wieczoru, kiedy pierwszy raz odwiedziłam operę, i jest tak samo głębokie do dzisiaj.

*

Wracałam z teatru, było już późno. Biegłam szybko w dół po stromych schodach głównego wejścia. Osłaniałam się od deszczu i wiatru powykręcaną na wszystkie strony parasolką. Wpadałam w głębokie kałuże i czułam, jak moje pantofelki miękły w wodzie.

Wbiegłam na parking i wsiadłam do zaparkowanego auta. Już siedząc w samochodzie, zaczęłam wycierać twarz i nogi serwetkami, które zwykle miałam przy sobie, tak na wszelki wypadek.

Prowadziłam pomału, włókłam się jak żółw. Snułam się po mokrej, błyszczącej, skąpanej w deszczu jezdni. Za mną ciągnął się rząd niecierpliwych, trąbiących kierowców. Migali nerwowo światłami,

a ja zastanawiałam się, dokąd właściwie się spieszą o tej porze. Było już grubo po północy.

I tak nie mogli wyprowadzić mnie z równowagi, byłam oczarowana, byłam pod wrażeniem wielkiego kompozytora, którego muzyka dotknęła mojej duszy, mojego serca, dotknęła aż do łez. Mnie się nigdzie nie spieszyło. Wiedziałam, że działam im na nerwy. Trąbili, wymachiwali rękoma za zalanymi deszczem szybami swoich samochodów. Wycieraczki nie nadążały wycierać tej ilości wody i prawdę mówiąc, niewiele widziałam.

Patrzyłam przed siebie, a za wycieraczki przedniej szyby spadały z drzew i wplątywały się duże klonowe i kasztanowe liście w kolorach jesieni. Niektóre przylepiały się do szyby, zasłaniając mi widok. Okrągłe brązowe kasztany podskakiwały po dachu jak tenisowe piłki, stukając o blachę. Nad miastem kłębiły się czarne chmury napęczniałe niczym poduchy nasączone wodą po same brzegi. Ulice przeglądały się w kałużach jak w dużych lustrach. Tej nocy nic nie mogło mnie wzruszyć oprócz muzyki Chopina, szczególnie w wykonaniu wybitnego młodego japońskiego pianisty, który czuł na pewno to samo, co ja, i tak samo wspaniale odzwierciedlał to w muzyce.

Jechałam dalej, nie zwracając uwagi na rozeźlonych kierowców. Skręciłam w ulicę, przy której mieszkałam.

Właściwie to, co mnie pokusiło, aby wyjść w taką niepogodę? Psy nie chcą nawet nosa wystawić! Przemoczona do reszty weszłam do lobby z recepcją, w której dyżurował portier w pełnej liberii, a na fotelu naprzeciwko, w kapeluszu, szarym długim płaszczu i z papierosem w dłoni siedział Bogumił.

– Na miłość boską, co tu robisz, jesteś cały mokry! Spójrz na płaszcz, prawie z niego kapie! A kapelusz lepi ci się do czoła! Co z tobą się dzieje? Co tu robisz o tej porze, stało się coś? – zapytałam troskliwie. – Może coś z matką?

– Nie, nieee... z matką od razu... Martwiłem się o ciebie, a tak naprawdę to, gdzie włóczysz się po nocach?! Dzwoniłem chyba ze trzysta razy, prawie chciałem włamać się do twojego mieszkania, bo może leżysz tam i... – spowiadał się Bogumił.

– Dlaczego zaraz mam leżeć trupem, a nawet gdyby, to i tak nie mógłbyś nic zrobić – odpowiedziałam trochę zła, nie patrząc na niego. – Byłam w teatrze... Wpadniesz na górę, może napijesz się koniaku, sam wyglądasz jak ryba wyciągnięta z wody! – skomentowałam, zmieniając temat. – Przecież masz klucze, dlaczego nie pojechałeś windą na górę?

– Nie... Nie wpadnę... Martwiłem się tylko o ciebie... No, ale już lecę, bo mam jeszcze sporo pracy – tłumaczył się, a potem wstał i zaczął poprawiać przemoczony płaszcz.

Zmęczona i zmarznięta weszłam do mieszkania. Zdjęłam buty z rypsu na wysokim obcasie, mokre i ciężkie od wody wylądowały z hukiem w drodze do kuchni, a pęk kluczy spadł gdzieś w okolicach łazienki. Torba z wielkim perłowym zamkiem i wieczorowy jedwabny płaszcz leżały byle jak na środku podłogi przy wejściu do sypialni. Czarna jedwabna suknia wpinała mi się we wszystkie zakamarki ciała, chyba skurczyła się na deszczu, po paru minutach ona też zajęła miejsce obok płaszcza.

– Och, nareszcie bez tego mokrego jedwabnego pancerza! – narzekałam sama do siebie, idąc w kierunku kuchni i naciągając na gołe ciało szlafrok cienki jak pajęczyna.

Na blacie kuchennym stał karton z butelkami czerwonego wina, które dostałam w przesyłce z Paryża. Wlałam trunek do dużego kielicha i przelknęłam pierwszy porządny łyk, mrużąc przy tym oczy.

Przeszłam do pokoju, w którym jedynym meblem był duży skórzany fotel w kolorze kości słoniowej i lustro w szerokich, złotych ramach w stylu rokoko. Pamiętam, że kupiłam je na aukcji. Być może wisało gdzieś w salonie w pałacu u jakiejś francuskiej, a może

angielskiej księżniczki, bo rozmiarami pasowało raczej tam, a nie w moim nowoczesnym mieszkaniu w centrum miasta. U mnie zajmowało całą ścianę, błyszcząc w promieniach słonecznych wpadających przez okno od strony przyległego tarasu.

Usadowiłam się wygodnie w fotelu, przechylając do tyłu głowę i trzymając w ręce kielich z czerwonym winem. Siedziałam i obserwowałam swoje odbicie w lustrze. Bawiłam się nim, długimi włosami w kolorze złota, lśniącymi, gęstymi lokami leżącymi na moich ramionach. Bawiłam się własnym obrazem, kokieteryjnie uśmiechając się, wkładając dłonie w grube pasma włosów, unosząc je do góry.

Wstałam, podeszłam do okna. Odsunęłam grube zasłony i spojrzałam w dół. Jakaś para przebiegała szybko przez jezdnię pełną głębokich kałuż. Nadjeżdżająca taksówka ochlapała zakochanych, pokiwali ze złością.

– Mogę sobie wyobrazić jej buty, na pewno są w takim stanie jak moje, czyli do wyrzucenia – wyszeptalam z uśmiechem do siebie. – Chyba już nigdy nie przestanie padać, chociaż meteorolodzy martwili się, że będą tylko susze, a tu proszę, woda leje się z nieba! – westchnęłam, zasuwając szczelnie zasłonę.

Samotność czasami dawała mi się we znaki, coraz częściej żyłam wspomnieniami i tak naprawdę pragnęłam odmienić swój los. Bo samotność jest straszna, szczególnie dla kobiety w średnim wieku.

Czułam, jak wino rozgrzewa moje ciało. Lekko czerwone rumieńce grzały policzki. Rozsiadłam się jeszcze wygodniej. Teatr. Kocham teatr i wszystko, co w nim, chyba mogłabym zamieszkać w teatrze, może gdzieś w kąciku za kulisami? Albo nie, może zagrać rolę? Małą, krótką, a może dużą, i zostać sławną aktorką, podziwianą, popularną, uśmiechającą się z pierwszych stron kolorowych magazynów?

Wstałam i podeszłam do kuchennego blatu. Po raz kolejny napełniłam kieliszek cudownym trunkiem. Powróciły wspomnienia, historie sprzed lat. Zamyśliłam się.

Nagle telefon poruszył się, trząsł się na podłodze, nie wydając z siebie sygnału. Małe zielone światełko zapulsowało kilka razy, potem zgasło.

Bogumił dzwonił zawsze o tej porze, aby powiedzieć mi dobranoc. Każdego wieczoru. Był pisarzem, inteligentnym, wykształconym. Przystojnym, eleganckim, wysokim ciemnym blondynem. Trochę w typie Indiany Jonesa. Był moim przyjacielem. Lubiłam słuchać jego opowiadań, trzymając mu głowę na ramieniu. Godzinami wsłuchiwałam się w te opowieści, prawdziwe i zmyślone. Był taki... dobry, taki ciepły... taki prawdziwy w każdym centymetrze. Wiem, że darzył mnie wielkim uczuciem i czekał... Czekał, kiedy ja będę gotowa darzyć go takim samym albo chociaż trochę mniejszym. Też by wystarczyło – jak podkreślał.

– Bogusiu – mówiłam, siedząc obok niego na dużych, miękkich poduchach rozłożonych na podłodze wokół rozpalonego kominka – jesteś znanym pisarzem, cenionym, bogatym, jeszcze nie starym... Znajdź sobie kobietę, która stworzy ci dom... Może pisarkę, jak ty?

– A kiedy mam to zrobić. Podróżuję, potem piszę, i potem znowu podróżuję, i znowu piszę, nie starcza mi czasu, sama wiesz. Ty najlepiej wiesz! – usprawiedliwiał się.

– Bogumił – znajdź sobie kobietę – powtarzała mu matka, dzwoniąc codziennie. – Jesteś taki inteligentny i mądry, Bogumile, i przystojny, synu mój, najwyższy już czas... Dziecko!

– Mam przecież kobietę – złościł się i irytował na matkę, a potem obojętniał. – Dobrze mi z nią – znowu cichł.

Unikał tych dyskusji, w ogóle nie były wygodne, chciał swoje prywatne życie zachować dla siebie. Nie lubił, kiedy matka komentowała jego wybory.

– Tak, dziecko, ale ona nie jest dla ciebie, zrozum, Bogumile!
– zaprzeczała. – Wiem, wiem... Jest ładna, podoba ci się, na pewno podkochujesz się w niej, ale ta kobieta... ta Julia, Bogumile...

zdecydowanie nie jest dla ciebie... synu! Przede wszystkim jest za... no, za stara dla ciebie. Piętnaście lat starsza? Ho, ho, nie do pomyslenia! Rozwódka, wdowa i nie wiadomo co jeszcze... – matka nie dawała za wygraną.

– Mamo, przestań, rozmawialiśmy na ten temat już tyle razy! – irytował się Bogumił. – Daj spokój, bo to już za dużo, naprawdę, dajesz mi rady, jakbym miał szesnaście lat... Dorosły chłop już jestem przecież. A w ogóle to nie widzę żadnej wady w niej... i kto wie... może kiedyś w przyszłości? Los płata figle, mamo! – podkreślał.

– Boże, jak trzasnęło! – przerwała. – Znowu grzmi... W imię Ojca i Syna... Boże... tak nie lubię być sama, kiedy za oknem burza! Zastanów się, co ci stara matka radzi, Bogumile... Dziecko... matka zawsze wie lepiej... Synu!

Piłam wino, rozmyślając o przeszłości... o moim życiu, marzeniach, pragnieniach.

– Chciałbym ci coś powiedzieć, Julio! – zaczął pewnego razu Bogumił. Zatrzymał się, idąc do biurka z leżącymi na blacie książkami, stosem papierów i stojącym dużym ekranem komputera. Otworzył nową paczkę papierosów. Przypalił jednego i zaciągnął się głęboko. – Wiesz... zawsze chciałem mieć kobietę taką, jak ty... wrażliwą, delikatną, subtelną... – Znowu ucichł, zamyślił się, patrząc gdzieś w dal. – Być może nasza relacja mogłaby być mniej platoniczna... – zawahał się, zastanawiając nad tym, co mówi. Spuścił głowę. – Czy twoje marzenia zawitały, przyplłynęły w końcu do twojego portu, Julio? – zapytał, nie patrząc mi w oczy. – Czy jak ten zabłąkany, biały żagiel rozbiły się gdzieś po drodze? Czy pragnęłaś właśnie tego, co dzisiaj masz? – Zgasił papierosa w kryształowej popielniczce. – Czy marzenia zagościły w twoim życiu, spełniły się? Czy jeszcze na coś czekasz? Na co, Julio?

Nie odpowiedziałam, utkwiałam wzrok w marokańskim dywanie pełnym wzorów i kolorów.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Bogumile! – dodałam, wzruszając ramionami. – Być może nasza przyjaźń prysnęłaby jak mydlana bańka, gdyby w nasz związek zakradł się... seks – powiedziałam i zamilkłam.

Drgnęłam, z zamyślenia wyrwał mnie drżący telefon. Może to Bogumił? Może chciał mi jeszcze coś powiedzieć, może o czymś zapomniał? Kiedy akurat chcę być sama, to dzwonią, wszyscy dzwonią, natarczywie, uparcie, jeden za drugim, chcą pogadać, ciekawi, co robię. W inne dni albo wieczory nikt nie ma czasu, bo praca, rodzina, dzieci, konferencje, zebrania. Cisza. Tyle że ja dzisiejszy wieczór spędzam w towarzystwie Fryderyka Chopina i z kieliszkiem czerwonego wina... No może dwoma... ech... trzema.

Nie odebrałam. Telefon ucichł, pulsował krótko, może jeszcze dwa razy.